

Analiza numeryczna i urok Orientu

O wrocławskim domu rodzinnym i pracy w czterech europejskich stolicach, o uniwersalnym języku matematyki i cyberbezpieczeństwie, o orientalnych zakątkach Paryża i tęsknocie za Uzbekistanem opowiada Anna Abkowicz

HANNA PILECKA: *Kiedy przeglądam twoje reportaże publikowane na tych łamach, co krok natrafiam na ślad umiłowania matematyki. Skąd się to uczucie wzięło i jak się rozwijało?*

ANNA ABKOWICZ: Ja nawet nie mogę powiedzieć, że matematykę w którymś momencie pokochałam, bo ona dla mnie zawsze była prosta, oczywista i logiczna. Jedyne co pamiętam, to że w domu były książki, które zresztą nadal mam u siebie: jedna zatytułowana *Matematyka popularna*, taki gruby tom, a druga – *Przez rozrywkę do wiedzy*. Kiedy miałam siedem czy osiem lat, uwielbiałam zaglądać do tych książek, poczytać to i owo. Te dwie książki są zupełnie różne, bo *Przez rozrywkę do wiedzy* jest adresowana do dzieci, zawiera jakieś ciekawostki i ćwiczenia, zazwyczaj niestandardowe. A *Matematyka popularna* to książka raczej dla dorosłych, popularyzująca algebrę i geometrię (czyli matematykę niezbyt wysoką), ale pokazująca też, jak można matematykę wykorzystać w naszym codziennym życiu.

Jak to wpłynęło na twoje wybory dotyczące wykształcenia?

Jeszcze w podstawówce mieliśmy chemię i o ile na początku nie wiedziałam, czego się spodziewać, bo to był nowy przedmiot, już wkrótce zobaczyłam, że to znowu jest proste, logiczne, ciekawe i że ma przełożenie na życie codzienne. Do liceum koniecznie chciałam pójść do klasy z rozszerzoną



Prezentacja jesiennej kolekcji uzbeckiej projektantki Hiloli Sher. Wrocław, 2015 r. Fot. Wiktor Zakrzewski

chemią i rozszerzoną matematyką. Długo szukałam, bo takie profile nie były standardem i chyba do tej pory rzadko się pojawiają, ale w końcu znalazłam liceum położone w sporej odległości od domu. To też był świadomy wybór, według zasady, że im dalej od domu, tym lepiej. Poszłam do klasy z rozszerzonym profilem matematyki, fizyki i chemii. Myśmy mieli część zajęć z chemii, w tym

kwantowej, na terenie szkoły, ale też raz w tygodniu parę godzin w laboratorium chemicznym na uniwersytecie. I te zajęcia prowadzili wykładowcy z Instytutu Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego.

Planowałaś podjęcie tam studiów?

Myślałam o tym, ale tak się sprawy potoczyły, że w pewnym momencie zraziłam się bardzo do tej chemii i już mowy nie było o jej studiowaniu. Trzeba się było zastanowić, co ja chcę dalej robić. Z matematyki byłam zawsze dobra, ale nie chciałam jej studiować, bo potem musiałabym pracować jako nauczyciel, a na to nie miałam ochoty. Tak się snułam wśród moich licealnych kolegów, którzy już wszyscy wiedzieli, co chcą studiować. Większość była zdecydowana na medycynę, ale w końcu jeden z tych nielicznych kolegów, którzy nie szli na medycynę, powiedział mi: „Ty jesteś dobra z matematyki, to może byś poszła na studia na informatykę?”. No może bym poszła, tylko że ja wtedy na oczy jeszcze komputera nie widziałam, nie ja jedna zresztą w tamtych czasach.

A jednak poszłaś.

Poszłam, egzaminy zdałam i zostałam przyjęta na Informatykę na Uniwersytecie Wrocławskim. Na pierwszym roku nam pokazali te nasze pierwsze komputery. To była „Odra”, która zajmowała taką przestrzeń, jak dwupokojowe mieszkanie. Ja już się nie załapałam na karty perforowane, ale dalej pisaliśmy wszystkie nasze kody na papierze, na takich specjalnych karteczkach. Dawało się to paniom, które to wpisywały do systemu, a później mieliśmy wydzielone na ćwiczeniach konkretne przedziały czasowe, w których mogliśmy te nasze kody uruchomić i sprawdzić, czy one działają, czy nie działają. No i tak się zaczęła moja przygoda z informatyką. Trwała ona cztery lata i na czwartym roku dostałam propozycję wyjazdu do Francji na stypendium. Wyjazd do Francji był możliwy dzięki decyzji mera miasta Villeneuve d’Ascq, w którym miał siedzibę uniwersytet, o ufundowaniu dwóch stypendiów – dla studentów z Polski i z Rumunii (po latach, kiedy wróciłam do Francji, miałam ponownie okazję spotkać się z merem osobiście, podziękować za otrzymaną szansę i pokazać, że nie została ona zmarnowana). Wtedy na francuskim uniwersytecie dogoniła mnie matematyka. Bowiem okazało się, że to, czym się zajmowałam we wrocławskim Instytucie Informatyki, czyli analiza numeryczna,

we Francji było w programie studiów na matematyce. Chcąc nie chcąc, poszłam na matematykę, mimo że nie chciałam jej studiować. Skończyło się tym, że mam dyplom ukończenia piątego roku matematyki we Francji i mam też doktorat z matematyki. To już tak z rozędu go napisałam.

Bezpośrednio po skończeniu studiów?

Tak, bo ja wyjechałam do Lille na stypendium roczne, żeby na tamtejszym uniwersytecie skończyć studia. A później oni zaproponowali, że mogą mi to stypendium przedłużyć, gdybym chciała zostać na uczelni i napisać doktorat. Pamiętajmy, że to był rok 1991, czyli w Polsce najgorszy ekonomicznie moment, kiedy mieliśmy hiperinflację, a gospodarka całkowicie się zawaliła i jeszcze nie zaczęła się odbudowywać. I jak się dostało taką propozycję, że tu ci płacą, a ty tylko usiądź i napisz doktorat, to trzeba było skorzystać – i to właśnie zrobiłam.

A jaki był temat dysertacji?

O rety, mam ci to po polsku powiedzieć?

Pewnie i po polsku to będzie dla mnie za trudne.

Moja mama miała zapisane na karteczce, a jak ktoś ją pytał, z czego córka zrobiła doktorat, to ona wyjmowała tę karteczkę i czytała na głos, po czym się upewniała: „Pani coś zrozumiała? Nie? Ja też nie!”.

My z twoją mamą to reprezentantki narodowego „odłamu filologicznego”... Ale część naszych czytelników zrozumie, na przykład moja bardzo informatyczna gdańska i oksfordzka

Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.
Wrocław, 1995 r.
Fot. Mariola Abkowicz



rodzina. Wielu Karaimów ukończyło stosowne studia i osiągnęło sukces w branży IT, jednak doktorat to już coś wyjątkowego.

No dobrze, ja się zajmowałam analizą numeryczną, matematyką stosowaną. Rozwiązywaniem układów równań macierzowych o dużych wymiarach. Tytuł zaczynał się od słów: „Zastosowanie metody hybrydowej do rozwiązywania układów równań”, ale co dalej, to już nie pamiętam, musiałabym sprawdzić, to było tak dawno!

Kiedy dokładnie? I czy szykując się do doktoratu, miałaś też jakieś obowiązki pedagogiczne?

Doktorat obroniłam w roku 1995. I rzeczywiście wykladałam na uniwersytecie w Lille, ale nie w ramach obowiązków, tylko ponieważ chciałam trochę pieniędzy zarobić. Nauczanie nie było wymagane, ja przede wszystkim miałam napisać pracę doktorską. Po prostu dzięki pracy pedagogicznej mogłam nieco sobie dorobić do stypendium.

Lubiłaś to?

Szczerze? Nie. Dlatego też nie ciągnęłam dalej tego wątku. Kiedy w roku 1996 zdecydowałam się na powrót do Polski, miałam trzy propozycje pracy na uczelni: do wyboru Uniwersytet Wrocławski, Uniwersytet Warszawski i warszawski PAN. Tylko jak doszło do finansów, to się okazało, że moja pensja wystarczałaby mi być może na opłacenie rocznego ubezpieczenia mojego samochodu. A za coś jeszcze trzeba było żyć, gdzieś mieszkać, w coś się ubierać. Do tego ja nie czułam się na tyle zafascynowana nauczaniem, żebym chciała pewne rzeczy dla takiej kariery poświęcić. I w tym momencie zrobiłam kolejny zwrot: najpierw na krótko zatrudniłam się we wrocławskim Banku Zachodnim, potem w Warszawie zaczęłam pracować w Auchan, a później w banku Société Générale, w którym pracuję do dzisiaj. I też taka ciekawostka: jako dziecko mówiłam, że w banku nie chcę pracować. Nie chciałam studiować matematyki, skończyłam z tytułem doktora matematyki, nie chciałam pracować w banku – i już dwudziesty czwarty rok pracuję.

Czyli twoja historia z francuskim bankiem Société Générale zaczęła się w Polsce?

Tak, w roku 2000 – i to była moja trzecia próba zatrudnienia się w Société Générale. Pierwszy raz złożyłam u nich CV we wrocławskim oddziale i jak

się później okazało, ono nigdy nie trafiło do kadr w Warszawie. Drugie podejście było już w Warszawie, ale wówczas Auchan zrobił mi kontrpropozycję. Dopiero trzecia próba była skuteczna. A do Polski wróciłam w roku 1996.

A my wróćmy na chwilę do polskich oddziałów Auchan. Czym się tam zajmowałaś?

Zaczęłam od bycia asystentką dyrektora do spraw informatyki i organizacji, później przez dwa lata zajmowałam się Investment Studies, czyli oceną wartości i potencjału terenów pod inwestycje w Europie Wschodniej, a potem trochę się obraziłam na mojego szefa, zwolniłam się i poszłam pracować do banku.

Od jakich tematów zaczynałaś w banku?

Na pewno nie od siedzenia w kasie. Choć niejednokrotnie mi się zdarzyło na gruncie towarzyskim usłyszeć od dalekich znajomych: „Ach, w banku, to musi być ciężko, tak liczyć te pieniądze...”. Odpowiadałam: „Możliwe, ale ja tego nigdy nie robiłam”. Przez pierwsze pół roku pracowałam jako kontroler zarządzania, dopiero później się dowiedziałam, że zatrudnili mnie na tym stanowisku tylko po to, żeby mnie ściągnąć i już mieć u siebie, bo wiedzieli, że pół roku później będzie się otwierało dla mnie inne stanowisko. Po pół roku przeszłam do pracy do dealingu. Tutaj już się zajmowałam supportem i technicznym, i merytorycznym oraz kontrolą pracy traderów.

Delegacja do Stambułu w 2006 r. była okazją do wizyty w tamtejszej kienesie.
Fot. Anna Abkowicz



Jak wspominasz czasy, kiedy pracowałaś w Warszawie?

Przez dziesięć lat stacjonowałam w Warszawie, od 2000 do 2010 roku, ale już wtedy sporo jeździłam po świecie, bo zajmowałam się Emerging Markets w Europie Wschodniej. Pracowałam w małym oddziale Soci t  G n rale, wtedy było nas w Warszawie dwieście osób. To była taka butikowa organizacja, gdzie wszyscy wszystkich znali, wszyscy wiedzieli, co kto robi dobrze, a co nieco gorzej, mogliśmy na sobie polegać. Bardzo miło wspominam ten czas. Zasadniczo każdy okres w moim życiu zawodowym pozostawiał mi zdecydowanie dobre wspomnienia. Jednak za każdym razem, rozpoczynając kolejny etap kariery, przechodziłam do większej organizacji.

Fascynująca jest mapa miejsc, w których pracowałaś. Przypomnisz ją nam?

Na początku byłam w Polsce, później, będąc formalnie w Polsce, pracowałam w Londynie. To wyglądało tak, że dwa lub trzy tygodnie spędzałam w Londynie albo jeździłam gdzieś po Europie, bo mi szef londyński zlecał misje, ale kontrakt cały czas miałam podpisany w Warszawie i tam raz na miesiąc pojawiałam się w biurze, żeby dać do rozliczenia moje bilety z podróży, hotele, itd. A później znowu pracowałam w Warszawie nad lokalnymi tematami. Potem pojechałam na rok do Wrocławia do eurobanku, z eurobanku na pięć lat do Moskwy, do Rosbanku, a stamtąd do Paryża, czyli do naszej centrali, gdzie jestem już ósmy rok.

Czyli to jest już drugi twój stały pobyt we Francji?

Ja powiem inaczej: to jest mój drugi czasowy długi pobyt we Francji.

W tym żarcie słyszysz nutkę goryczy. Czyżby pewne cechy rdzennych mieszkańców Paryża spowodowały, że tak to ujmujesz?

Widzisz, po Moskwie bardzo chciałam pojechać do pracy w Londynie, tam jeszcze mieliśmy część centrali. Bo znany mi już dobrze z tej strony Londyn był prawdziwie międzynarodowym miastem. A Francja to jest Francja, tutaj jak znasz francuski i masz obywatelstwo, to jest dobrze, a jak nie, to jeszcze mogą cię tolerować, jeśli masz jasną cerę, ale różnie bywa. W związku z tym po moim pierwszym długim pobycie w Lille mówiłam, że



◀ Święteczne spotkania w domu cioci Tamary Szpakowskiej z domu Szyszman miały niezwykłą atmosferę. Warszawa, 2009 r.

▶ Internet uprościł łączność z litewską częścią rodziny

Fot. Mariola Abkowicz



już nigdy do Francji nie wrócę. I proszę, kolejny przykład: ja mówiłam jedno, a życie zrobiło drugie. Zresztą założenie było takie, że ja tu do Paryża przyjadę na trzy lata, zrobię swój projekt i później gdzieś sobie pojadę dalej. Tylko

że w międzyczasie trochę się sytuacja zmieniła, i ekonomiczna, i u nas w firmie, więc raczej daleko już chyba nie pojedą. Póki tu jestem, pracuję, zarabiam pieniądze, to jestem, a jak skończę pracować, to pewnie pojedą gdzie indziej.

Co ci tu najbardziej przeszkadza?

Taki tumiwiizm. Mam wrażenie, że wróciłam do Polski komunistycznej. „Nie jest zrobione, no to nie jest zrobione”, „Myśmy się z panią umówili na dziesiątą, ale jest piąta i ja dzisiaj już nie przyjadę”. W zasadzie niczego nie możesz zaplanować, nigdy nie wiesz, czy coś zostanie wykonane, czy nie, transport jeździ, jak jeździ, czyli od czasu do czasu, a regularne to są tylko strajki. Z czystością bywa różnie, bezdomni śpią na ulicy i nikt z tym nic nie robi, w metrze śmierdzi, a szczyry są w Paryżu właściwie wszędzie...

...w dużej mierze przez stałe strajki śmieciarzy.

Tak, na przykład rok temu ja te góry śmieci na ulicach widziałam! Ostatnio była tu jeszcze plaga pluskiew i w tym momencie na pytanie „Co mi przeszkadza?” mogłabym odpowiedzieć: „Wszystko mi przeszkadza!”

Pluskwy w Paryżu? W czasach pokoju?

Ależ tak, nawet polska prasa o tym pisała. U nas w biurze najpierw szukali pluskiew z psami, jakby pies był najlepszym środkiem na zabicie pluskwy. Jak nie pomogło, to zrobili dezynfekcję i na razie jest spokój, a co będzie, jak się zrobi ciepłej, to zobaczymy.

Paryż jest specyficzny, podobnie jak jego mieszkańcy, ale to zjawisko dotyczy większości stolic, jakie znam. Na szczęście są inne regiony kraju, choćby Bretania, którą obie tak lubimy. Moi przyjaciele Bretończycy nieustannie podkreślają swoją odrębność i rzeczywiście żyją inaczej.

Zgadza się, Paryż jest, jaki jest, a mimo to wszyscy się nim zachwycają, bo przecież nie sposób jeździć po świecie i nie odwiedzić tej stolicy. Natomiast mi zdecydowanie bardziej się podoba w Bretanii. Zresztą nawet jak rozmawiam z kolegami i marudzę, że znowu mi coś nie pasuje, to oni mówią: „No tak, bo ty nie widziałaś Francji, widziałaś tylko Paryż”. I rzeczywiście, wystarczy, że wyjedziesz troszkę poza Paryż i już się spotyka normalnych ludzi.

A dalej położone regiony Francji?

Mam ochotę wrócić na południe Francji, do Prowansji. Póki Mila Zajączkowska-Łopatto tam mieszkała ze swoim mężem Maniusiem, było łatwiej, bo zawsze mogłam liczyć na ich gościnę. Uwielbiam Grasse, najchętniej po sezonie turystycznym, kiedy można spokojnie pochodzić po uliczkach, zajrzeć do sklepików z perfumami, wejść do Muzeum Perfum, pojechać troszeczkę dalej, zobaczyć, jak to wygląda. Teraz to brzmi anegdotycznie, ale jakieś dziesięć lat temu bilet z Cannes do Grasse kosztował 1 euro.

Tak samo jak do Nicei, bo ja od Mili i Maniusia za 1 euro pojechałam do Domu Matisse'a, który za mojego poprzedniego tam pobytu był świeżo otwarty jako muzeum i zbyt obleżony przez turystów, żebym miała rezygnować z kąpieli w Morzu Śródziemnym. W Bretanii ocean jest za zimny, ale wszystko inne kocham.

Po bretońskim wybrzeżu oprowadzała mnie przez cały tydzień Mariam Mainguy (znana też jako Masza Szpakowska). Ja byłam zaskoczona, bo oczywiście nikt nas o tym nie uczył, że w Bretanii bardzo długo było zakazane używanie języka bretońskiego. Dzieci w szkole były karane, jeżeli nie mówiły po francusku. Jak widać problemy asymilacji nie dotyczą wyłącznie Karaimów. Mój tata miał podobną sytuację w Łucku – jego nauczyciele zabronili dziadkom rozmawiać po karaimsku w domu, bo ich dzieci mówiły po polsku z nieprawidłowym akcentem.

„No tak, bo ty nie widziałaś Francji, widziałaś tylko Paryż”.

Fot. Mariola Abkowicz



Może przez to podobieństwo losów i postaw tak dobrze czujemy się wśród tych sympatycznych, porządných ludzi, kultywujących celtyckie tradycje. Moja bretońska przygoda zaczęła się od festiwalu teatralnych w Nantes, historycznej stolicy niepodległej Bretanii. To nie jest przypadek, że tam w katedrze na grobie ostatniego ich niezależnego władcy, Franciszka II, zmarłego w roku 1488, zawsze leżą świeże kwiaty.

A ja się wkrótce do Nantes wybieram, ponieważ w Chateau de Bretagne jest teraz przepiękna wystawa o Mongołach, z unikatowymi egzemplarzami, które po raz pierwszy wyjechały z Mongolii do Europy. Tym bardziej chciałabym tę wystawę obejrzeć, że rząd chiński próbował ją zablokować.

Mongołowie prowadzą nas do kolejnego wątku, jakim jest twoja fascynacja tym, co wschodnie. Dowiedziałam się właśnie ze statystyk w aplikacji Duolingo, że uczysz się tureckiego, w imponującym tempie zdobywając „punkty doświadczenia”.

To już moje kolejne podejście do tureckiego, bo stwierdziłam, że trzeba spróbować się nauczyć. Tym razem postanowiłam, że nie pójdę na jakieś kursy, bo te we Francji mnie rozczarowały chłosem, tylko że jak będę miała wolną chwilę, to sobie poświęcę na Duolingo w telefonie.

W swoich reportażach o Uzbekistanie czy Kirgistanie wspominasz, że rozumiałaś tamtejsze języki.

Tak, to było niesamowite, zwłaszcza w Kirgizji. W Uzbekistanie było trudniej, bo uzbecki jest przemieszany z perskim, więc trochę rozumiałam, ale zdecydowanie mniej. Natomiast w Kirgizji ja sama byłam zaskoczona, na ile dzięki słowom zasłyszonym w dzieciństwie od rodziców pewne sprawy się we mnie raptem otwierały. Czy to jest historia genetyczna, nie wiem, trudno mi to nazwać. Nagle zaczęłam rozumieć, o czym oni mówią, to było śmieszne, bo w odpowiedzi podejmowałam wątek rozmowy, używając oczywiście rosyjskiego. I oni, nie do końca znając całą moją historię, dziwili się, że tak szybko nauczyłam się kirgiskiego. Kirgiskiego? Mnie po prostu zaczynało się przypominać coś, co do czego nie byłam nawet świadoma, że to kiedykolwiek słyszałam.



A jak było z rodzicami? Oboje mówili po karaimsku?

Mama mówiła płynnie, jako typowy native speaker. Tata mówił może odrobinę mniej biegle, na co miała wpływ ta szkolna historia w Łucku, ale ja pamiętam, że rodzice swobodnie ze sobą rozmawiali w tym języku, zwłaszcza kiedy chcieli coś przed córkami ukryć. A jak mama z cicią Anią z Wilna dzwoniły do siebie, a to jeszcze były te rozmowy telefoniczne zamawiane i cenzurowane, to jak chciały powiedzieć coś takiego, żeby cenzura nie rozumiała, automatycznie przechodziły na karaimski.

Przypomnij, czym zajmowali się twoi rodzice, Zosia i Sławek Abkowiczowie?

Mama, mieszkając na Litwie, wtedy w Związku Radzieckim, zdobyła wykształcenie polonistki, ale kiedy przyjechała do Wrocławia, okazało się, że z takim akcentem uczyć polskiego nie może, więc przekwalifikowała się na nauczycielkę rosyjskiego. A tata skończył prawo i administrację.

Już tu w powojennej Polsce czy jeszcze w Wilnie?

W Wilnie nie udało mu się zrobić nawet matury, bo był zbyt wielkim polskim patriotą! Otóż po kampanii wrześniowej, kiedy do Wilna weszli Sowietci i wiadomo było, że w tej nowej sytuacji polskie gimnazjum będzie już zupełnie inaczej wyglądało, tata na pierwszej lekcji wstał z ławki i na głos odśpiewał *Rotę*. Wyobrażasz to sobie? Chłopcy z polskich rodzin siedzieli jak trusie, a Karaim

Po tak bliskim spotkaniu z orłem warto policzyć palce. Kirgizja, 2015 r.
Fot. Katarzyna Sobańska

po prostu musiał! I oczywiście za to został relegowany ze szkoły. Maturę zrobił eksternistycznie, już tu na Dolnym Śląsku, pracując równocześnie w cukrowni, a potem ukończył studia prawnicze i przeszedł w banku kolejne szczeble kariery aż do stanowiska dyrektora.

Opowiedz więcej o swoich rodzicach. Twoja mama bardzo mi pomogła, kiedy pewnego lata pisałam w Trokach jednoaktówkę na finał szkoły języka karaimskiego. Cierpliwie i z humorem tłumaczyła mi wszelkie niuansy, ani przez chwilę nie dając do zrozumienia, że ją zanudzam czy zabieram jej czas na wypoczynek, co w dużej mierze było prawdą.

Mama była świetnym pedagogiem, do tego stopnia świetnym, że uczniowie z tej klasy, którą prowadziła jako wychowawca, kiedy była w ciąży ze mną, czyli już ładnych parę lat temu, odwiedzali ją w zasadzie do końca. Przyszli jeszcze i na mamy ostatnie pożegnanie we Wrocławiu. Ona była dla nich jak taka druga mama. Nigdy nic podobnego nie widziałam. Ja oczywiście czasem wspominam moich nauczycieli, jednych lepiej, drugich gorzej, ale jak wyszłam z liceum, już nie miałam ochoty się z nimi spotykać. A tu ten kontakt był taki ciepły, przyjemny, jak w rodzinie. Raz byłam na takim spotkaniu klasowym, które oni u nas w domu urządzili – przyszło ileś tam mocno już dorosłych osób i dla mnie to było uroczyste. Potrafili na przykład przyjść w dniu imienin Zofii, stanąć na ulicy pod tym naszym wielkim blokiem, mrówkowcem, i krzyżeć, żeby pani profesor wyjrzała przez okno, co było dość kłopotliwe, bo mama akurat nakręciła włosy na walki. Potem oczywiście ładowali się do windy i dalszy ciąg balu rozgrywał się w naszym mieszkaniu. Pedagogiem była na pewno bardzo dobrym, niestety szybko musiała rozstać się z pracą w szkole z powodów zdrowotnych, ale ta właśnie klasa była do końca jej klasą.

A jaki był twój tata?

Uwielbiał czytać książki i gazety. Był zdecydowanie małomówny. Natomiast pamiętam, jak rodzice odwiedzili mnie we Francji i z okazji ich przyjazdu moi koledzy z uczelni, Marokańczycy, zorganizowali kolację. I tato raptem się tak rozgadał o Maroku, że nawet oni byli zaskoczeni, że tato ma taką szeroką wiedzę o kraju, który, nie oszukujmy się, dla Polski był raczej peryferyjny. Ja musiałam to wszystko tłumaczyć, bo tata oczywiście

nie znał ani francuskiego, ani angielskiego, i pamiętam, jak dużo wtedy popłynęło słów i refleksji. Takie były jego zainteresowania – historia, polityka, geografia, wręcz połykał książki z tych wszystkich dziedzin. I później komu chciał, to przekazywał tę wiedzę. Jednak generalnie ci, którzy tatę znali, zapamiętali go jako osobę introwertyczną, zamkniętą w sobie, i że mówił naprawdę niewiele – ale jak już coś powiedział, to zawsze z sensem.

Był dyrektorem Banku Narodowego?

No tak, wtedy innego banku w Polsce nie było. Za mojej pamięci zarządzał IV Oddziałem Narodowego Banku Polskiego we Wrocławiu. Opowiem taką anegdotkę. Kiedy po doktoracie wróciłam z Francji do Polski, zaczęłam pracować w banku, już innym niż Narodowy, co zresztą załatwił mi tato. Rozumiesz, dziecko wróciło, trzeba było znaleźć mu pracę. I mój szef, który nie do końca wiedział, kim ja jestem, zaczął mnie oprowadzać, jak to zwykle bywa, po różnego rodzaju działach i przedstawiać. A jak pracujący tam ludzie słyszeli „Anna Abkowicz”, to zazwyczaj pytali, jak się tatuś czuje – bo tatuś był już na emeryturze, wszyscy wiedzieli, że ma chorobę Parkinsona. I okazało się, że prawie w każdym pokoju, do którego zachodziliśmy, ktoś znał tatę, kiedyś z nim pracował. W kolejnym gabinecie mój szef, słysząc to entuzjastycznie „O, Abkowicz...”, nie wytrzymał i spytał: „To co, pani też tatusia znała?”. Ale odpowiedź brzmiała: „Nie, mamusia mnie rosyjskiego uczyła!”

A jak wspominasz kontakty z braćmi ojca?

Wujka Maniuka Abkowicza dobrze pamiętam. Był głównym księgowym w PGR-ze pod Wrocławiem,

Rodzinne spotkanie u wujka Gabriela i cioci Bożeny w Kaliszu. Lata 90. Fot. Wirginia Firkowicz



do wujka zawsze się jeździło na wieś. W samym Wrocławiu mieszkał wujek Michał Abkowicz, który niestety wcześniej zmarł, a był moim karaïmskim tatą chrzestnym. Pamiętam, że lubił mnie rozśmieszać i że mnie troszeczkę rozpuszczał, przynosił prezenty, ale tak naprawdę to są takie wspomnienia jak przez mgłę. Natomiast brat numer dwa, czyli wujek Maniuk, bardzo z moim tatą zaprzyjaźniony, lubił do mnie na przykład przyjeżdżać do Warszawy. Jak już jechał na cmentarz karaïmski, to zazwyczaj się u mnie na parę dni zatrzymywał – bo zawsze odwiedzał groby swoich rodziców 26 maja, w rocznicę śmierci mojej babci, a zarazem Dzień Matki, a potem jechał na Bemowo, odwiedzić wujka Sławka Pileckiego. Tylko że pierwszy raz do mnie przyjechał niezapowiedziany. Ja byłam w pracy, a on chyba nawet dokładnego adresu nie miał, ale nie było problemu, wujek dał sobie świetnie radę: poszedł do sklepu obok mojego bloku i tam precyzyjnie mu wyjaśnili, gdzie ja mieszkam i że przyjdę po wpół do siódmej, więc on usiadł na ławeczce przed bramą i cierpliwie na mnie czekał.

Tvoja babcia, Hazzanowa, urodziła czterech chłopców, prawda?

Tak, był jeszcze wujek Gabryś Abkowicz. No i była dziewczynka, Ania, ale ona zmarła w wieku dwóch lat. Ja miałam chyba z dziesięć lat, kiedy się o tym dowiedziałam. Trudno powiedzieć, czy mam imię po niej, czy po cioci Ani Szpakowskiej. Ostatecznie moje imię wybrała Mariola. Miałam się nazywać Aleksandra, a Mariola się uparła, że chce mieć siostrę Anię.

Wujek Gabryś, ojciec Agnieszki Gordon, nie mieszkał we Wrocławiu?

Nie, wyjechał do Kalisza, był najmłodszym dzieckiem moich dziadków i jak to zwyczajowo bywa, zwał jak najdalej od rodziców. Nie on pierwszy, nie ostatni.

Jak widać po tobie...

Zgadza się, tradycja rodzinna została zachowana (*śmiech*).

A kogo jeszcze pamiętasz z karaïmskich zebrań wrocławskich?

Pana Mikołaja Dubińskiego wspominam bardzo dobrze, często nas odwiedzał i miał w naszym domu specjalne przywileje – to była jedyna osoba, której wolno było u nas palić papierosy. Pamiętam



Gabiego Dubińskiego, który dzwonił regularnie do rodziców. Pamiętam panią Lusię Rutkowską, ciotkę Adasia Dubińskiego...

Pierwsze kroki pod baczynym okiem babci Niny. Troki, ok. 1970 r.
Fot. Bogusław Abkowicz

Mamę Ani i Ali, czyli babcię Michała Nemetha?

Tak, z nią i z mamą jeździłyśmy na wycieczki poza miasto, zbierałyśmy rajskie jabłuszka. Ania i Ala były ode mnie sporo starsze, za to z mamą się tak troszkę przyjaźniły. No i nie zapominajmy o cioci Nusi Firkowicz, żonie Sławka Firkowicza, kuzyna



W wakacyjnych wyjazdach często towarzyszyła nam ciocia Nusia. Troki, 1978 r.
Fot. Bogusław Abkowicz

naszego taty. Ciocia nie jest z urodzenia Karaimką, ale miała zawsze dobry kontakt z nami wszystkimi.

Mama Witka Firkowicza? Widziałam ich oboje dwa lata temu na otwarciu Skweru Karaimskiego we Wrocławiu, a wcześniej pewnie na warszawskich zjazdach.

Ciocia zawsze przyjeżdżała na karaimskie zjazdy w Warszawie. Jest mamą Witka i Andrzeja. Bardzo młodo została wdową, a mieszkała blisko nas, o dwa przystanki tramwajem. One z moją mamą zawsze w sobotę czy w niedzielę chodziły razem na spacer, bardzo się przyjaźniły. Ciocia lubiła robić kybyny i wtedy wzywała mamę do pomocy – ale nie dlatego, że nie umiała, po prostu potrzebowała tej drugiej pary rąk.

A pewnie i czyjegoś serdecznego głosu, miłych opowieści... Chciałabym też cię spytać o wspomnienia z wrocławskiego mieszkania twojego dziadka, hazzana Rafała Abkowicza, gdzie za czasów naszego dzieciństwa działała jedyna w Polsce kienesza. W bardzo uroczystym nastroju przeżyłam ten dzień, kiedy moja mamusia zaprowadziła mnie na ulicę Kniaziewicza, a hazzan otworzył nam drzwi do zaaranżowanej w największym pokoju kienesy i przystąpił do modlitwy. Jesteś ode mnie znacznie młodsza, co zapamiętałaś?

Chodziliśmy tam się pomodlić w niektóre soboty i oczywiście w święta. Mama mówiła, że mam dziadka jako Hazzana pocałować w rękę, ale jak się do tego przymierzałam, on zawsze mówił: „Ty nie!”. Czy dlatego, że byłam mała, że byłam najmłodsza? Mariola też to pamięta, że ona dziadka całowała w rękę, ale gdy przychodziła moja kolej, cofał dłoń: „Ty nie!” – i zamiast tego całował mnie w główkę. A po modlitwie w święta przechodziliśmy do jadalni i zasiadaliśmy przy długim stole w licznych karaimskim gronie.

A czy miałaś możliwość spędzania czasu z dziadkami ze strony mamy?

Dziadka Józefa Juchniewicza niestety nie zdążyłam poznać, ale za to coroczne pobyty w Trokach u babci Niny są nieodłączną częścią wspomnień o beztrudnym dzieciństwie. Pamiętam kybyny i biok z ruskiego pieca oraz rodzinne obiady, kiedy stół z kuchni był przenoszony do pokoju i rozkładany tak, aby wszystkie dzieci, ich żony i mężowie oraz wnuki babci mogli się przy nim pomieścić.

Jakie tradycje karaimskie z Wrocławia wspominasz najmilej?

Kybyny, to w ogóle nie ulega wątpliwości... Zapach kybynów, lepienie uszek, bo mama powtarzała, że sama robić nie będzie, więc nas z Mariolą zaganiała do roboty. Placek z kruszonką, te wszystkie aromaty normalnego dla nas jedzenia... Miałam w liceum takiego kolegę, zresztą nadal się przyjaźnimy, do którego czasami wpadałam po lekcjach. Jego mama często prosiła, żebym u nich została na kolację, w nadziei, że on w moim towarzystwie coś

Prace kuchenne zawsze w zespole przebiegały szybciej i nie obywały się bez rodzinnych opowieści. Kadry z filmu *Ostatni hazzan*, 1971, reż. Ewa Straburzyńska



zje, bo on był niejadkiem. Ja coś tam jadłam, on nie, odwoził mnie potem do domu i szedł prosto do naszej kuchni, sprawdzał, co mamy w garnkach. Ja mu mówiłam, że to ma być na jutro na obiad, a mama zaraz prostowała: „Ale Przemus może zjeść!”, bo wszyscy wiedzieli, że z niego taki niejadek. Potem jego mama telefonowała do mojej i pytała, co ona takiego gotuje, że jej syn u niej je, a w domu nigdy. Fakt, jedzenie było troszkę inne.

Bo karaïmskie! Bardzo sugestywnie opowiadasz i dobrze, że dziś na obiad upiekliÅmy kybyny z jagnięciną, bo inaczej musiałabym cię przeprosić i zacząć buszować w kuchni (śmiech). Powoli kończy się nam jednak marzec, trzeba już myśleć o innych wypiekach.

No tak, wiosna to czas na przygotowywanie tymbyłów. Pierwsze moje tymbyły powstały już po przeprowadzce do Warszawy, potem były robione w Moskwie, a teraz w Paryżu. Obie moje babcie używały tałky do ugniatacia ciasta na tymbyły. Ja też mam swoje tałky z dedykacją, które zrobił dla mnie Szymek Firkowicz, a do robienia dziurek używam historycznej skrytułki, która należała do Lipy Jefimowny Szyszman, a później do jej córki Tamary Szpakowskiej.

Szymon zrobił to tałky własnoręcznie? Słyszałam od Marioli, że jego dziadek Szymon Juchniewicz zrobił tałky dla siostr, czyli Ani i twojej mamy, Zosi.

A młody Szymon podjął tradycję i zrobił tałky dla mamy, siostr i ciotek, czyli nas dwóch z Mariolą. Moje wyciął z kawałka drewna i wypalił napis „dla Anny”. Wygląda jak to u babci Abkowiczowej, ale jest jaśniejsze, bo na razie mniej używane.

Piękne jest to, że wszyscy w waszej szeroko pojętej rodzinie dbają o karaïmskie tradycje. Z drugiej strony nurtuje mnie pytanie, jakbyś oceniła wkład rodziców w wychowanie tak niezależnych, stanowiących o sobie i panujących nad rzeczywistością córek? Bo przy wszystkich różnicach w waszych ścieżkach zawodowych widoczny jest ten rys wspólny, że i ty, i Mariola nieustannie pokonujecie nowe progi.

Po pierwsze rodzice absolutnie nie przeszkadzali. Jak się chciało coś robić, to nie było ograniczeń typu „możesz, nie możesz, nie wolno”. Po drugiej otaczali nas ciekawymi książkami, tata miał ogromną bibliotekę i mogłyśmy do woli z tego

bogactwa korzystać. Oprócz *Matematyki popularnej* jako dziecko czytywałam też stale *Małą encyklopedię Polski*, tyle tam było ciekawostek i dających do myślenia ładnych obrazków. Widzisz, to rodzicielskie nakierowanie nie miało cech typu „masz to zrobić i już”. Raczej odbierałyśmy to jako „popatrz w tym kierunku, może ci się spodoba”.

W czym ci nie przeszkadzili?

Kiedy powiedziałam, że jednak chcę iść do tego liceum daleko od domu, a byłam już na podstawie egzaminów wstępnie przyjęta do pobliskiego liceum, rodzice absolutnie nie protestowali. Tak samo potem było z wyborem studiów, bo to był mój wybór, przecież w tej rodzinie humanistów byłam takim wyrodkiem...

...może raczej samorodkiem?

Takim wyrodkiem-samorodkiem! Ale najbardziej to było widoczne, jak dostałam stypendium na czwartym roku. Miałam dwadzieścia lat, Polska jeszcze ciągle była krajem komunistycznym, wyjazd za granicę nie wydawał się czymś tak oczywistym jak teraz, a ja języka francuskiego w ogóle wtedy nie znałam i dosłownie nie wiedziałam, co mam zrobić, czy jechać, czy nie jechać. A rodzice mi powiedzieli, że jaka by nie była moja decyzja, to oni mnie i tak będą wspierać. Jeśli zechcę pojechać, to pomogą tyle, ile dadzą rady. Jak zostanie, to też nie ma problemu, będę u nich mieszkać, skończę studia, potem zobaczymy. Jestem przekonana, że strasznie przeżywali ten mój wyjazd za granicę, ale nigdy nie dali mi tego do zrozumienia. „Chcesz jechać, jedź, bylebyś sobie, dziecko, krzywdy nie zrobiła.” Myślę, że to wsparcie rodziców było bardzo ważne i że czasami nieprzeszkadzanie też jest pomocą.

Czyli pojechałaś studiować do Lille nie znając języka?

Nie od razu do Lille, przecież wtedy jeszcze trzeba było mieć wizę, więc najpierw musiałam pojechać na rozmowę do Krakowa, bo we Wrocławiu nie było konsulatu. Pamiętam, że konsul w Krakowie sceptycznie się na moje plany zapatrywał ze względu na ten problem językowy, a rozmawiał ze mną oczywiście za pomocą tłumacza. Ja tak na niego popatrzyłam i mówię: „Ale ja chcę matematykę studiować, a matematyka jest międzynarodowa, francuski za bardzo nie będzie mi przeszkadzał!”. A on się wtedy zaczął śmiać, widać uznał,

że języka dam rady się nauczyć. I tak się stało. Francuskiego się nauczyłam, wykładowcy też byli wspaniali, z góry mówili, że jeżeli czegoś na zajęciach nie zrozumie, mogę do nich podejść i wszystko mi wyjaśnią po angielsku. Szybko się zresztą zorientowałam, że jeśli chodzi o kształcenie, myśmy w Polsce byli bardziej zaawansowani niż oni we Francji, bo część tego, co miałam tam w programie, była dla mnie jak powtórka tego, co robiłam we Wrocławiu. A później, jak zaczęłam wykładać na uczelni, to też parę razy się złapałam na tym, że kiedy mówiłam o czymś, co myśmy przerabiali w liceum, na przykład o całkowaniu czy różniczkowaniu, to francuscy studenci patrzyli na mnie jak na wariatkę, w ogóle nie wiedzieli, o co chodzi.

Taki wyjazd niósł ze sobą ryzyko osamotnienia, ale przypuszczam, że mimo bariery językowej szybko nawiązałaś relacje towarzyskie.

Pomógł mi fakt, że trafiłam do zespołu doktorantów na tyle międzynarodowego, że tam żadnego Francuza nie było. Większość była z Maroka, jeden chłopak z Algierii – i dopiero po mnie przyjechały dwie osoby z Portugalii. Po latach, kiedy już wracałam do Polski, pojawiła się tam jedna Francuzka, która pisała doktorat. Może dlatego, że w zasadzie we Francji ludzie nie postrzegają doktoratu jako czegoś bardzo prestiżowego.

Jako młodziutka dziewczyna musiałaś nauczyć się żyć w kraju nieporównywalnym do ówczesnej Polski. Czy koledzy ze studiów pomogli ci zrozumieć, jak to wszystko działa?

Troszkę mi pomagali, tam, gdzie mogli. Koledzy największą pomocą otoczyli mnie w czasie kończenia doktoratu i przygotowywania się do obrony. Po powrocie z Uniwersytetu zawsze znajdowałam nagrany na automatycznej sekretarce wiadomość, gdzie mam przyjechać na kolację. To była taka niepisana solidarność i bezinteresowna pomoc, bardzo cenna w tym dość trudnym okresie. Były też rzeczy, w których oni mi absolutnie nie mogli pomóc, tak jak staranie się o kartę stałego pobytu. Sama musiałam przejść przez tę procedurę, zresztą to były troszkę inne czasy. Tej biurokracji francuskiej to już się sama nauczyłam.

Czasy się zmieniły, ale biurokracja trzyma się dobrze. Na szczęście niekiedy możemy się od niej oderwać i poszybować hen, daleko. Jak to

się stało, że Uzbekistan stanowi tak ważną część twojego świata?

Jeszcze jako dziecko zaczytywałam się bajkami Hodży Nasreddina. Czytałam je w kółko, więc przy okazji dowiadywałam się trochę o Samarkandzie i Bucharze. Dla mnie to było takie inne, kolorowe, fascynujące. I później, jak byłam na studiach jeszcze w Polsce, organizowano wycieczki dla studentów. Jedną z takich wycieczek była właśnie do Azji Środkowej, ale ja się na nią nie załapałam. Nawet nie pamiętam dlaczego – czy się zakwalifikowałam, ale nie zebrały grupy, czy nie doszła do skutku, bo się zaczęły przemiany ustrojowe. W każdym razie ta moja pierwsza próba zwiedzania Uzbekistanu się nie powiodła. Później wyjechałam do Francji, ten temat został odłożony na półkę, zapomniany, ale jak potem pracowałam w Londynie, to w naszej kantinie obsługiwał nas chłopak z Uzbekistanu. I ten temat do mnie wrócił. Wtedy było ciężko tam dojechać, ale on obiecał pomóc, dać mi namiary na firmę turystyczną, która wyrobi mi wizę itd. – ale przy moim kolejnym pobycie w Londynie okazało się, że ten chłopak u nas nie pracuje. Kontakt się absolutnie urwał i znowu nic nie wyszło z moich planów. Potem pracowałam w Moskwie, poznałam kolegę z Uzbekistanu i stwierdziłam, że skoro jestem już tak blisko, to już najwyższy czas tam pojechać. Pierwszy raz skorzystałam z usług firmy turystycznej i zrobiłam sobie taką dziesięciodniową jednoosobową wycieczkę: Chiwa, Buchar, Samarkanda, Szachrisabz, Taszkient, dolina Fergańska i z Taszkientu polecałam z powrotem do Moskwy. I jak raz tam byłam, to pokochałam te wszystkie miejsca i zaczęłam wracać częściej.

Jak to sobie obiecałaś w zakończeniu reportażu z czerwca 2014 roku!

Tak właśnie. A jak się już tam jeździ, kogoś się poznaje, ten ktoś przedstawia cię swoim bliskim... i tak dalej. Nie wiem, czy nam się uda pojechać we wrześniu z Mariolą do Uzbekistanu, ale ja już mam tyle osób, które czekają, aż przyjedziemy, że chyba nam będą czerwony dywan rozkładać na lotnisku.

A byliście już tam kiedyś razem?

Nie, ciągle jeszcze planujemy, tak od dawna, ale póki mama żyła, to też nie wyjeżdżałyśmy obie naraz, potem się Covid zaczął. Może w tym roku wyprawa dojdzie do skutku.

Te piękne orientalne szaty, które często nosicie, też pochodzą z Uzbekistanu, prawda?

Tak, bo ja tam poznałam taką bardzo utalentowaną dziewczynę, kostiumologa, która ma własną firmę i parę rzeczy ona mi szyła. Czasem też zamawiam u innej zaprzyjaźnionej projektantki i ona mi te ubrania przysyła. A czasami, jak to ostatnio było w przypadku Marioli, dostajemy jakiś prezent. Moja dobra tamtejsza znajoma postanowiła wysłać Marioli taki właśnie podarek. Tylko nie знаła jej adresu, więc prezent najpierw trafił do Paryża, stamtąd do Trok, potem do Warszawy i wreszcie do Wrocławia.

Patrz właśnie na twoje portretowe zdjęcie w uzbeckiej sukni. Na białej czy może écru tkaninie rytmicznie odcisnięto tradycyjny motyw skrzydeł motyla, tym razem w czerni. Ta fotografia pojawiła się obok twojego artykułu o pięknie matematyki i nauk ścisłych, pisanego po angielsku, który zeskanowała mi Mariola. Chętnie go przetłumaczę dla naszych czytelników. Powiedz nam, co to była za publikacja?

Poproszono mnie w zeszłym roku, żebym wzięła udział w tworzeniu jubileuszowego czy świątecznego numeru „Top Cyber News Magazine” z okazji Dnia Kobiet. Chodziło o matematykę, technologie informacyjne, cyberbezpieczeństwo. 8 marca w tym czasopiśmie zamieszczono teksty czterdziestu czterech kobiet zajmujących się cyberbezpieczeństwem.

Czy to twoja główna dziedzina?

Nie, obecnie to stanowi zaledwie jeden z elementów mojej pracy. Ja się zajmowałam tylko tym konkretnie, czyli cyberbezpieczeństwem, od 2016 do 2020 roku. Wtedy odpowiadałam za strategię cyberbezpieczeństwa dla grupy Société Générale w Europie, Afryce i Rosji.

A teraz czym się zajmujesz?

Na dzień dzisiejszy odpowiadam za strategię IT w Europie, już bez Rosji. Czyli nadzoruję całą działkę IT w bankach, które należą do Société Générale w Europie, i tak samo nadzoruję obszar płatności elektronicznych. A od 1 czerwca przejmuję nowe obowiązki i będę odpowiadać za zarządzanie sytuacją kryzysową na poziomie Grupy. To nowe, bardzo ciekawe wyzwanie i aby sprostać oczekiwaniom, wróciłam do szkolnych ławek na parę miesięcy.

Rozmawialiśmy już o negatywach życia we Francji, ale to jednak kraj cudowny pod względem kultury materialnej, krajobrazu, architektury i zbiorów muzealnych. Co ci się tutaj najbardziej podoba?

Na pewno lubię pogodę, tu zimy są łagodne. Przez ostatnie trzy dni można było spacerować w podkoszulkach, bo mieliśmy dziewiętnaście stopni, choć jeszcze marzec w pełni – i to jest rewelacyjne. Gorzej, kiedy zaczyna padać, bo zwłaszcza na północy Francji to padanie trwa długo, a wilgoć francuska zdecydowanie mi przeszkadza. Uwielbiam tutejsze sery, bagietkę też, ale w ograniczonych ilościach, bo w którymś momencie zaczyna mi się chcieć polskiego chleba na zakwasie – ale jak upiekę parę razy chleb na zakwasie, to mam ochotę na bagietkę, bo ja nie lubię powtarzalności i monotonii. Lubię też wyjechać poza Paryż i odkrywać coś nowego. Chociaż zdarza mi się to i w Paryżu – w poprzedni weekend byłam po raz pierwszy w Musée Rodin i uważam, że jest fantastyczne.

Chyba jednak trochę identyfikujesz się z tym miastem, bo wiem, że zamierzasz wspomóc organizację wielkiego święta sportu.

Takiej okazji, że w tym roku Igrzyska Olimpijskie odbędą się w Paryżu, nie można było nie wykorzystać. Zgłosiłam się do programu wolontariatu przy igrzyskach olimpijskich i paraolimpijskich. Na razie czekam na wytyczne, już wkrótce powinnam wiedzieć więcej o szczegółach. Będzie to

Francuskie sery to pokusa, której nie warto się opierać.
Fot. Mariola Abkowicz



dla mnie szansa, aby po raz kolejny wyjść z mojej strefy komfortu i zrobić coś niepowtarzalnego.

A w codziennym życiu paryżanki co lubisz?

Moje cosobotnie wychodzenie na bazar, żeby kupić świeże owoce, świeże warzywa i świeżą rybę, bo tego u nas w Polsce zupełnie nie ma. Te ryby tutaj są inne, sprzedawcy mi o nich chcą coś opowiadać, ale ja mówię, że i tak ich nazw francuskich nie zapamiętam, bo w języku polskim one po prostu nie istnieją, tak jak nie istnieją te ryby na naszym rynku. A tutaj – ryby, ośmiornice, generalnie lubię to jedzenie.

Do Muzeum Rodina wracałam dwa razy, bo jego rzeźby inspirują mnie od dzieciństwa, ale ty na pewno znalazłaś tutaj zaułki mniej znane z podręczników historii sztuki.

W Paryżu moje ulubione miejsce niestandardowe, mało turystyczne, to Wielki Meczet. A dokładnie jego ogród, bo do meczetu nikt by mnie nie wpuścił. Ten ogród wiosną i latem wygląda przepięknie, a po zwiedzaniu alejek można pójść troszeczkę dalej, wejść do kawiarni, usiąść w zupełnie innej niż na wielkich bulwarach atmosferze i wypić słodką herbatę miętową, zagryzając orientalnym ciasteczkami. Ale to nie ja odkryłam dla siebie to miejsce, pokazał mi je Michel Kefeli.

A jak myślisz, czemu od minuty zaśmiewam się całkiem nieprofesjonalnie? Kiedy trzy lata temu robiłam wywiad z Michelem, ten rodowity paryżanin, zapytany o ulubiony zakątek swojego miasta, bez wahania odrzekł: Grande Mosquée, Wielki Meczet!

Michel wszystkich znajomych zaciągał do tego meczetu. Mnie też tam zaprowadził dawno, dawno temu, a teraz ja robię to samo z moimi gośćmi – zabieram ich do meczetu. A niedaleko meczetu jest Instytut Świata Arabskiego i tam też często bywam na wystawach. Ostatnio mieli piękną, działającą na wiele zmysłów wystawę o perfumach.

Ach, te geny, które pozwalają nam rozwijać się i kwitnąć w nowoczesnej Europie, ale przy każdym kontakcie z Orientem wyzwalają w nas potężną falę wzruszenia...

A wiesz, w Paryżu zanurzam się też czasami w klimat Dalekiego Wschodu. Dzięki mojemu koleżce z pracy całkiem niedawno odkryłam chińską dzielnicę i ostatnio byłam tam na przykład na



obchodach chińskiego Nowego Roku. I znowu to uczucie, że trafiasz do innego świata...

Dla nas egzotyka, dla paryżan bazarowa codzienność.
Fot. Mariola Abkowitz

Skoro mówimy o egzotyce, jakie masz jeszcze marzenia podróżnicze?

Żeby znowu polecieć do Uzbekistanu. Jeszcze bardzo chciałabym pojechać do Iranu, ale w tej chwili to sama nie wiem... Mogę sobie mówić, co ja chcę, a rzeczywistość i tak powie swoje. Miałam w zeszłym roku jechać do Jordanii, ale niestety Izrael napadł na Palestynę i tam się zrobiło niebezpiecznie, więc już nie pojadę. Zostaje mi zwiedzanie Europy. Chciałabym też wrócić do Kanady, bo strasznie mi się spodobała kanadyjska przyroda, i jeszcze raz pojeździć po parkach narodowych. To dzięki Romkowi Dubińskiemu i jego żonie Małgosi bardzo dużo tam zobaczyłam, ale jeszcze nie mam dość, chcę to powtórzyć, zobaczyć jeszcze więcej. No i przede mną do odkrycia cała Ameryka Południowa.

Z nią też się wiążą jakieś twoje pasje?

Nie, po prostu wiem, że jest ciekawa, że warto kiedyś tam pojechać na zwiedzanie. Mam teraz w pracy koleżankę z Peru i ona ciągle mi mówi, że muszę poznać ten kraj, ale do Ameryki Południowej nie ciągnie mnie tak, jak mnie ciągnęło do Azji Środkowej. A jakby mi dzisiaj powiedzieli: „Jedź do Iranu albo jedź do Argentyny”, to od razu bym wsiadła w samolot do Iranu.

*To już wiem, czego ci życzyć – pokoju na świecie!
Dziękuję za rozmowę, Aniu.* ■